

Edmund Dombrzalski

O swej uczelni się nie zapomina

Kiedy zaczęła się II wojna światowa, miałem ukończone trzy lata gimnazjum. Nie myślałem wówczas o kierunku studiów ani o zawodzie, w którym praca przyniosłaby mi najwięcej satysfakcji. Nie byłem pewien, czy ze względu na koszty będę mógł studiować. W styczniu 1945 roku, kiedy Niemcy z mojego miasta Inowrocławia zostali przepędzeni, wiedziałem już że chcę kształcić się na uczelni technicznej. Inowrocław w czasie okupacji został włączony do Rzeszy. Pracowałem w niemieckiej firmie elektrotechnicznej, najpierw jako uczeń, a po trzech latach jako monter elektryk. Chciałem studiować elektrotechnikę. W cukrowni, na której terenie się wychowywałem, pracował inżynier wykształcony w okresie międzywojennym na politechnice w Gdańsku. Uczelnia ta miała u nas dobrą opinię. Był również na niej oddzielny Wydział Elektryczny, a ja wierzyłem, że elektrotechnika ma duże możliwości rozwoju.

Studia rozpocząłem w 1946 roku. Ruiny śródmieścia Gdańska, ul. Grunwaldzkiej we Wrzeszczu, wypalony Gmach Główny Politechniki robiły przygnębiające wrażenie. Znalazłem się w gronie studentów, z których część nie miała opóźnień w nauce, ale w większości byli tacy, a do nich również i ja należałem, którzy nie mieli szans na naukę w czasie okupacji. Wszyscy jednak byliśmy ludźmi młodymi, pełnymi entuzjazmu, cieszącymi się z możliwości rozpoczęcia studiów. Chęć nadrobienia utraconych lat pozwalała myśleć o nauce mimo otaczających nas gruzów. Byliśmy dumni ze swojej uczelni. Cieszyliśmy się, że przybywa do niej szereg znanych naukowców, przede wszystkim z Politechniki Lwowskiej i Warszawskiej. Nosiliśmy czapki studenckie, które wzbudzały zainteresowanie szczególnie w rodzinnych stronach.

Rektorem Politechniki był wówczas prof. Stanisław Turski, dziekanem Wydziału Elektrycznego prof. Kazimierz Kopecki, a w dziekanacie Wydziału panowała Pani Matylda Nosek. Pani Matylda była pierwszą osobą, z którą każdy początkujący student na naszym Wydziale się zetknął. Była stanowcza, zdecydowana, budząca respekt. Ale w tej marsowej postaci biło przyjazne serce, dzięki czemu w trudnych sytuacjach podawała pomocną dłoń.

Na początku nie było ani książek, ani skryptów. Trzeba było samemu wysłuchać wykładu, robiąc notatki, które stanowiły podstawę nauki. Miałem świadectwo czeladnicze montera elektryka. Zostałem więc zwolniony z praktyki warsztatowej. Udało mi się również zdać egzamin z języka niemieckiego.

Matematyki uczył nas prof. S. Turski, a ćwiczenia prowadził mgr J. Blum. Ale ten asystent był piłą! Co tydzień pisemny sprawdzian. W zależności od uzyskanego wyniku otrzymywało się odpowiednie miejsce na sali: najślabi w pierwszym rzędzie, najlepsi w ostatnim. Po kilku miesiącach, siedząc na odpowiednim miejscu, było się dokładnie zorientowanym co do posiadanego stopnia. Dla mnie był to szok. Pierwsze niepowodzenia zmusiły do solidnej pracy i powoli przesuwałem się, aż dotarłem do ostatniego rzędu. Początkowe pretensje do mgr. J. Bluma zaczęły zmieniać się w uznanie: on starał się z nas zrobić dobrych matematyków. W następnym roku nastąpiła zmiana asystenta i sprawdzanie wiadomości stało się mniej rygorystyczne. Pana mgr. J. Bluma poznałem później osobiście - był miłym mieszkańcem sąsiedniego bloku. Kiedy już go na świecie nie było, powiedziałem kiedyś do jego żony: „Pani mąż był dla nas postrachem, ale dużo jemu zawdzięczaliśmy”.

Stereomechanikę techniczną wykładał prof. M.T. Huber, były profesor Politechniki Lwowskiej, później Politechniki Warszawskiej. Wiedzieliśmy o jego olbrzymim dorobku naukowym i widzieliśmy, jakim go obdarzano szacunkiem. Wykłady były prowadzone w Auditorium Maximum. Profesor Huber stawał przy tablicy i pisząc wzory, objaśniał ich znaczenie. W pierwszym rzędzie zawsze siadał asystent mgr inż. J. Rutecki. Pewnego dnia

mniej więcej po 10 minutach wykładu z pisaniem wzorów mgr inż. Rutecki podszedł do prof. Hubera i coś mu tłumaczył. Profesor zwrócił się do sali z zapytaniem: „To nie są studenci Wydziału Mechanicznego?”. Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy z Wydziału Elektrycznego. „To ja tyle czasu przemawiam do innych studentów, a wy nie protestujecie?”. Ot, nie wszystko w pełni rozumieliśmy. Asystent mgr inż. J. Rutecki w 1963 roku został profesorem.

Termodynamikę techniczną wykładał prof. W. Wiśniowski. Wprowadził on szereg nowych pojęć teoretycznych. Pewnego dnia wygłosił dla studentów Politechniki odczyt o swoich modyfikacjach w teorii cieplnej. Było na nim wielu profesorów i studentów. Z wywiązanej dyskusji dało się wyciągnąć ogólny wniosek, że mimo wprowadzenia nowych terminów zasady działania zjawisk cieplnych pozostają bez zmian. Wystąpił również prof. M.T. Huber. Wyraził uznanie dla nauczyciela akademickiego, który draży temat teoretyczny, przestrzegał jednak przed wprowadzaniem nowego nazewnictwa, stawiając jako przykład swe własne kłopoty z terminem „stereomechanika”.

Elektrotechniki teoretycznej uczył prof. L. Staniewicz, były profesor Politechniki w Petersburgu i Politechniki Warszawskiej. Zawsze przychodził w towarzystwie mgr inż. J. Dziedzica. Profesor wykładał, a jego asystent pisał wzory na tablicy. Słusznie, gdyż wzorów było dużo, a z tablicy było łatwiej przepisywać. Mgr inż. J. Dziedzic w 1955 roku został kierownikiem Katedry Elektrotechniki Teoretycznej.

Prof. S. Kaniewski kierował Katedrą Maszyn Elektrycznych i Napędu Elektrycznego. Ukończył Politechnikę Kijowską. Duże zasługi położył dla rozwoju elektrotechniki w Polsce. Z tą katedrą kojarzy mi się przede wszystkim mgr inż. S. Roszczyk, który w 1957 roku przejął jej kierownictwo.

Mieliśmy dużo spotkań z prof. K. Kopeckim. Wykładał ważne dla energetyków przedmioty elektryczne. Dzielił się z nami swoimi życiowymi doświadczeniami, uczył że w życiu nawet drobiazgi mają znaczenie, a w gospodarce elektrycznej należy uwzględniać również promile. Był twardy i zdecydowany, trudno dostępny, ale okazał się później, na gruncie prywatnym, miłym człowiekiem.

Na VI semestrze mieliśmy przedmiot „zarys teletechniki”, którego wykładowcą był prof. Ł. Dorosz. Swą działalność naukowo-dydaktyczną rozpoczął w 1924 roku na Politechnice Lwowskiej, a w 1946 roku został profesorem. Pracując przed wojną w *Zarządzie Telefonów Lwowskich*, oprócz wiedzy teoretycznej, zgromadził dużo wiadomości związanych z eksploatacją urządzeń teletechnicznych. Kiedyś opowiedział nam anegdotę związaną z telefonami we Lwowie. Po ich zainstalowaniu (producentem była najprawdopodobniej szwedzka firma Ericsson) jeden z abonentów o nazwisku Zajac zaczął miewać złośliwe połączenia. Zdarzało się, że gdy po sygnale podnosił słuchawkę i przedstawiał się „mówi Zajac”, słyszał głos: „pif-paf! już nie żyjesz”. Nic dziwnego, że takie sytuacje drażniły pana Zajacę. Zarząd Telefonów zwrócił się do producenta aparatów z prośbą o pomoc. Odpowiedź była nieoczekiwana: „Najpierw nauczcie obywateli kultury, a potem instalujcie aparaty telefoniczne”. Niby prawda, ale chyba zbyt dobitnie powiedziana.

Mieliśmy jeszcze i innych wykładowców, profesorów o dużym doświadczeniu i szerokiej wiedzy, takich jak np. W. Florjański – rysunek techniczny, I. Malecki – oświetlenie elektryczne, J. Naleszkiewicz – mechanika, A. Piekara – fizyka, S. Szpor – wysokie napięcia, R. Szewalski – encyklopedia turbin parowych.

W drugiej połowie lat czterdziestych powstał męski chór Politechniki. Dyrygentem był Zbigniew Chwedczuk, a pieśni – również dla chóru – komponował gdański kompozytor Henryk Jabłoński. Byłem barytonem w tym chórze. Nawet pamiętam jeden występ z Filharmonią Bałtycką pod dyrekcją Bohdana Wodiczki (podobno był udany). Chwaliliśmy się, że to jest największy chór w Europie (było nas rzeczywiście dużo). I kiedyś wracając późnym wieczorem po próbie do domu, zafascynowani jego wielkością, tak głośno „śpiewaliśmy”, że zatrzymała nas milicja. Argumenty o wielkości chóru nie przekonywały.

Stwierdzili, że nasz „śpiew” rozlega się jak krzyk rabowanych. Szczęśliwie kazali nam się tylko uspokoić.

Kiedy dyrygentem Filharmonii Bałtyckiej był Zygmunt Latoszewski, co tydzień chodziliśmy na koncerty. Studenci mieli ulgi i miejsca na balkonie zawsze były zajęte. Wówczas również, w drugiej połowie lat czterdziestych, odbywały się w Bratniaku bardzo popularne i na dobrym poziomie występy kabaretowe. Obok sali, w której wydawano obiady, znajdowała się sala mniejsza z pianinem. Przy nim czasami siadał student i zaczynał grać utwory klasyczne. Z miejsca tworzyło się grono słuchaczy i był piękny koncert w porze obiadowej.

W 1950 roku zacząłem pracować jako projektant w Zakładzie Elektroenergetyki Katedry Urządzeń Elektrycznych, Sieci i Gospodarki Elektrycznej prof. K. Kopeckiego. Kierował nim bezpośrednio mgr inż. Stefan Gieszczykiewicz. Zakład ten opracowywał wiele projektów budowy lub odbudowy czy modernizacji różnych obiektów, jak: linie i stacje elektroenergetyczne, elektrownie i elektrociepłownie, instalacje przemysłowe. Razem ze mną pracowało kilku kolegów z mego roku i z innych lat, a także z innych wydziałów, nie wyłączając oczywiście pracowników naukowo-dydaktycznych. Kolegami, z którymi współpracowałem na co dzień, byli: Stanisław Babiński, Zbigniew Cichosz, Stanisław Boczkowski, Klemens Gardzielewski, Waldemar Kapusto (zmienił później nazwisko na Mierzejewski), Rudolf Krajewski, Franciszek Milkiewicz, Edward Reguła, Stefan Schally, Zbigniew Słoczyński, Stanisław Wieczorek, Jerzy Wołodźko, Stefan Wywiół i kreślarz Tadeusz Maj.

Pracę w tym zakładzie bardzo ceniłem ze względu na przyjazną, koleżeńską atmosferę, opracowywanie ciekawych tematów, częste ogólne dyskusje o sprawach technicznych, spotykanie się z młodymi pracownikami naukowo-dydaktycznymi. Piętro niżej w Katedrze Wysokich Napięć pracowali Edmund Dytkowski i Henryk Dzierżek, koledzy z tego samego roku studiów. Była to dobra szkoła dla młodych inżynierów, która nauczyła nas dokładności i solidności w projektowaniu, pracy zespołowej, umiejętności prowadzenia dyskusji.

W połowie lat pięćdziesiątych dla kilku z nas rozpoczął się trudny okres. Założyliśmy rodziny, żyliśmy w pokojach sublokatorskich, a płaca otrzymywana w Zakładzie nie pozwalała nam na poprawę warunków mieszkaniowych. I kiedy w połowie lat pięćdziesiątych zaczęły się pojawiać w Zakładzie pogłoski na temat konieczności zmniejszenia zakresu działalności i prawdopodobnej redukcji zatrudnienia, w 1956 roku, po 6 latach pracy, przy nadarzającej się okazji, czterech pracowników: Klemens Gardzielewski, Waldemar Kapusto (Mierzejewski), Edward Reguła wraz ze mną przeszło do Polskich Linii Oceanicznych. Pływaliśmy na statkach jako elektrycy, nadzorowaliśmy budowy nowych statków i remonty eksploatowanych.

Od kwietnia 1962 roku zacząłem pracować w Polskim Rejestrze Statków (PRS). Sądzę, że byłem dobrze przygotowany do pracy w polskiej instytucji klasyfikacyjnej. Miałem świadectwo czeladnicze montera elektryka, dyplom Politechniki Gdańskiej, doskonałą praktykę projektową oraz dyplom elektryka okrętowego. I to miejsce pracy dobrze wspominam; sądzą, że wykonywaliśmy dobrą robotę. Był to okres intensywnego rozwoju przemysłu okrętowego. Poza pracą w PRS dodatkowo uczyłem w technikach, później współpracowałem z Wyższą Szkołą Morską i byłem redaktorem działowym w miesięczniku „Budownictwo Okrętowe”.

Od wielu lat jestem na emeryturze. Już zdrowie nie takie jak dawniej. Chęci są, ale siły inne, mniejsze. Przyjaciele mówią: ciesz się, że żyjesz – chyba mają rację.

Tak się składa, że mieszkam niedaleko Politechniki. Kiedy koło niej przechodzę, wracają dawne wspomnienia i poczucie przywiązania do miejsca, które mnie wyuczyło i ukształtowało. Cieszę się, widząc wprowadzone zmiany, słysząc o osiągnięciach pracowników i absolwentów – przecież to moja uczelnia. I cieszę się, bo to również uczelnia

moich dzieci i wnuków: córka ukończyła Wydział Architektury, a jej syn studiuje obecnie na tym wydziale; syn – Wydział Mechaniczny, jego syn jest również absolwentem tego wydziału. Tylko elektryka nie ma. Kiedy znów stoję nad brzegiem Bałtyku, patrząc na jego fale, zastanawiam się, gdzie się podziały statki polskich armatorów – a było ich tak dużo, kiedy pracowałem w PRS. Niestety, nie zawsze jest tak, jakby się chciało. Takie jest życie.

Biuletyn Informacyjny PRS, sierpień 2005 r. (wyd. specjalne)

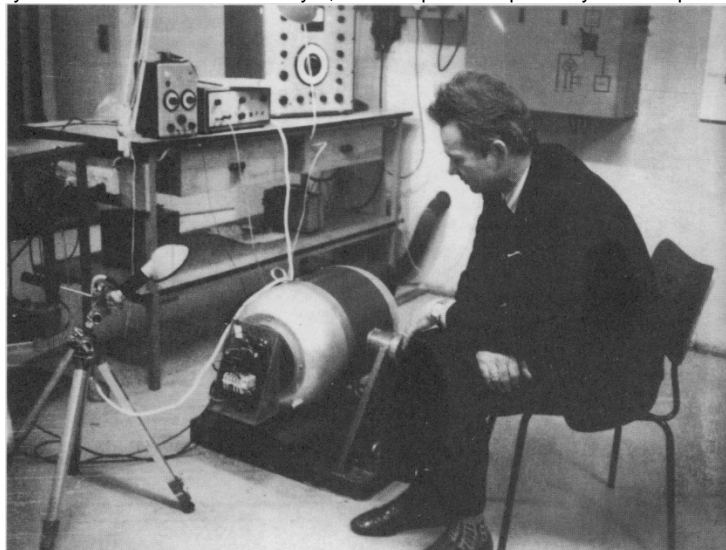


W Laboratorium Maszyn Elektrycznych (1949 rok).

Od lewej: Klemens Gardzielewski, Antoni Szponar, Jerzy Trzeciak, Jan Szuca, Waldemar Kapusto (Mierzejewski), Edmund Dombzalski, Edmund Dytkowski, Ryszard Szymański, Marian Pasierbski



Elektrycy w zakładzie elektrotechnicznym, autor wspomnień pierwszy z dołu z prawej strony



Autor artykułu przeprowadza próby stycznika